Nr. 3. Warszawa dnia 3 (15) Stycznia 1873 roku. ROK IX. Seryja 3-cia.

OPIEKUN DOMOWY

PISMO TYGODNIOWE

SPRAWOM WYCHOWANIA RZECZOM SPOŁECZNYM LITERATURZE I SZTUKOM PIĘKNYM POŚWIĘCONE.

CENA PRENUMERATY
łącznie z 12-tu tomami bezpłatnego dodatku:

w Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.:	
rocznie	rs. 3 kop. 60	rocznie	rs. 5
półrocznie	rs. 1 „ 80	półrocznie	„ 2 kop. 50
kwartalnie	„ 90	w Austryi rocznie	9 guldenów
miesięcznie	„ 30	w Prusach „	5 talarów

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 (NOWY).

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład Główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w Redakcyi przy ulicy Nowy Świat Nr. 30 nowy; w *Poznaniu* u **Czapińskiego**, (daw. księg. Rychtera); we *Lwowie* u **Wilda Karola**; w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza; *w Krakowie* w księgarni **A. Nowoleckiego.**

Numer pojedyńczy kop. 10.

Książki szkolne w handlu księgarskim.

W rzędzie cywilizacyjnych czynników społecznych handel księgarski zajmuje niezaprzeczenie jedno z wybitniejszych stanowisk. Badając wpływy jego na oświatę, jakkolwiek pośrednie, śmiało rzec można, że zdrowo pojęta propaganda książek, warunkuje w danym położeniu społecznym propagandę umysłowego życia ogółu, rozwój narodowéj oświaty. Fakt ten w społeczeństwach innych uwydatnia się jasno. Dość spojrzeć np. na sąsiednie nam Niemcy, gdzie sprzedaż książek sięga rozległego zakresu, praktyczne kolporterstwo przeciska się w najciaśniejsze zakątki,— słowem gdzie handel księgarski, rozwijając się w warunkach normalnych, upowszechniając szeroko, współdziała najskuteczniej z podstawowemi czynnikami oświaty, przenika do wszystkich warstw społecznych, podnosi poziom umysłowości w masach. Śledzić przeto kierunek tak ważnego motoru, rozpatrywać wszystkie jego odcienie, analizować wytwarzane na zewnątrz wpływy, zdaje się rzeczą o ile ważną, doniosłą, o tyle naturalną i niezbędną. Odnośnie jednak do społeczeństwa naszego zasada ta, jak dotychczas, w zupełności prawie pomijaną bywa. Publicyści wogóle rzadko w téj materyi podnoszą głosy; handel zaś księgarski, nie tylko że nie przechodzi na drogę *praktycznego upowszechnienia*, że zamknięty głównie w samym ognisku umysłowego życia (Warszawie), dalej, z wyjątkiem kilku znaczniejszych miast naszych, w miasteczkach mniejszych nie istnieje wcale [1],— lecz nadto, i w tym stanie rozwoju, postępując samopas, bez moralnéj kontroli publicznéj, schodzi niekiedy na drogi fałszywe, niezgodne z jego przewodnim celem, bezpośrednim zadaniem. Z wielu stron ujemnych, jakie przedstawia, w téj chwili jednéj tylko dotkniemy. Chcemy *mianowicie*, zwrócić uwagę na *handel księgarski* odnośnie do *książek szkolnych*. Wzgląd to niezbyt może rozległego znaczenia na pozór, rzeczywistej jednak doniosłości w gruncie. O ile tak jest, przyjrzyjmy się bliżéj.

Przedewszystkim, należy nam zaznaczyć, że jak w ogóle handel nasz cały, tak i gałąź księgarska, nie znajdując oparcia u chrześcijan naszych, przeszła po największéj części w ręce żydów. I nie mielibyśmy nic przeciwko temu, gdyby handel tego rodzaju, tam rozwijał się w naturalnéj formie, gdyby urzeczywistniając swoje zadanie, przynosił korzyść ogółowi, potęgował zbiorowe dobro. Lecz przeciwnie, obserwując ściśle działalność jego zewnętrzną, rozbierając sumiennie najdrobniejsze objawy, spostrzegamy odrazu, że jak wiele innych gałęzi przemysłu, tak i pośrednictwo książkowe, zatracając cechy społecznego pożytku, schodzi do znaczenia egoistycznéj spekulacyi, bezwzględnego wyzysku. Tę ostatnią jednakże myśl stosujemy głównie do tak zwanych *księgarzy-antykwaryjuszów*, stanowiących w Warszawie dość znaczną stosunkowo liczbę. W ich bowiem ręku handel księgarski staje się pożytecznym ze względów jedynie wyjątkowych, szczególnych,—niekorzystnym z uwagi na cele rozleglejsze, ogólne. Twierdzenie takie poprzemy najskuteczniéj codziennym, z życia wziętym przykładem. Ktoś z ludzi niezamożnych mimo zbyt ograniczonych materyjalnych zasobów, pragnie sięgać po światło, wzbogacać umysł, — zdobywać wiedzę. Wobec wygórowanéj u nas jeszcze ceny umysłowych produktów wogóle, nabycie książki nowéj, w jednéj z pierwszorzędnych księgarni — staje się dla niego zbyt utrudnione, częstokroć niemożliwe; idzie więc do antykwaryjusza, gdzie, znając cenę katalogową, żądane dzieło—kupuje nierównie taniéj. W tym przeto razie, handel księgarski antykwaryjuszów, stając się niejako ułatwiającym, pomocniczym środkiem, — działa dodatnio. *Dodatniość* jednak ta nie zrównoważy w innym względzie stosunku *ujemnego*, zniknie nawet, zestawiona

[1] W tym ostatnim względzie odzywałem się już w „Przeglądzie Tygodniowym" w artyk: „Małe miasteczka i handel księgarski."

ŚLADY ŻYCIA.

III.

Tyle życia, ile... w czynie.

„Panowie! — Jako przyczynek do zamieszczonego przez Was w Nr. 1 artykuliku o kolporterach niemieckich, wciskających się z płodami niemieckiego ducha pod nasze strzechy w Kaliskim, przyjmijcie fakt, jaki miał miejsce niedawno tu w Warszawie,—fakt, za autentyczność którego zaręczam.

Do pewnego, znanego z zamożności domu, przychodzi jakiś dość porządnie odziany człowieczek z pliką papierów pod ręką i nie proszony przez nikogo, zaczyna rozkładać swój towar, zachęcając łamanym polskim językiem do kupna. Dom, do którego jegomość ów trafił, znanym był z zamożności,—nieznanym jednak ze swoich antyniemieckich usposobień. Rozumie się więc, iż cała wymowa przybyłego na nic się nie zdała; wskazano mu drzwi i odszedł mrucząc pod nosem pewno o barbarzyństwie niechcących korzystać z dobrodziejstw niemieckiéj oświaty.

Nazajutrz, służąca zamiatając, znalazła w kącie (oczywiście przezeń pozostawione) dwa prospekta i bilety prenumeracyjne na publikacyje niemieckie z Eissingen.

Nie zwrócono uwagi na to—prospekta i bilety prenumeracyjne poszły do śmietnika. W tydzień jakoś potym, pod opaskami z poczty odbiera gospodarz domu kilka dziełek ilustrowanych dziecinnych, a znowu w tydzień zjawia się ten sam co poprzednio człowieczek z rachunkiem na 5 talarów $4\frac{1}{2}$ slbrgr. w ręku. Oburzenie pana X. nie miało granic. Znając machiawelską taktykę kulturträgerów niemieckich, którzy jednemi drzwiami wyrzuceni, drugiemi się wciskają, domyślił się odrazu, iż pozostawione bez jego wiedzy w domu bilety prenumeracyjne, miały niby posłużyć za dowód że żądał nadsyłki wzmiankowanych publikacyj. Nie zmięszał się więc, gdy mu niemiec bezczelnie dowodził, że on żądał nadesłania książek i po długich ceregielach, kazał go wraz z jego dziełami wyrzucić za drzwi.

Fakt ten przytaczam na poparcie tego, iż i w naszym mieście kolporterstwo niemieckich książek praktykuje się tak jak w Kaliskim, a zarazem dla ostrzeżenia i zwrócenia ogólnéj uwagi na grożące nam stąd niebezpieczeństwo. Czysto niemiecka firma F. Hoesicka dawno już czynnie propaguje u nas niemczyznę—dziś druga niemiecka firma księgarska *Robitschka* i *Altenberga*, ma zamiar podobno na wielką skalę kolporterstwo to po kraju całym urządzić, jak o tym świadczą jéj ogłoszenia o poszukiwaniu odpowiednio uzdatnionych kolporterów. Zadania tych panów łatwe do odgadnięcia. Chcą być na tym gruncie pionierami *kulturträgerstwa*, i pod pozorem taniości, książki niemieckie i kult niemiecki pod nasze strzechy zręcznie wnosić. Strzeżmy się! Wobec jednak ruchliwości

z nim odpowiednio. Stosunek zaś taki wskaże nam najwyraźniéj początek i koniec szkolnego roku, — uzmysłowi najwybitniéj — również żywotny, namacalny przykład. Rodzice, wobec zbyt szczupłych osobistych funduszów, pragną jednak dzieciom swym dać edukacyją; — wysyłając je więc do szkół, — obok wielu uciążliwych wydatków, myśleć naturalnie muszą i o dostarczaniu im potrzebnych książek. Posłyszawszy zaś, że u antykwaryjuszów „można kupić tanio“ udają się tam; — lecz, nie wiedząc o katalogowych cenach, ulegają spekulacyjnemu nadużyciu, — opłacają podwójnie a niekiedy potrójnie nawet rzeczywistą wartość książki. Niedosyć na tym, tę samę książkę którą rodzice przepłacili, na którą ostatni może zasób wydali, synalek (uczeń 1éj lub 2éj klasy) z końcem roku szkolnego niesie znów do antykwaryjusza i sprzedaje za $^1/_4$ nie już poprzednio nadpłaconéj, lecz rzeczywistéj ceny. Przychodzi początek roku,—znów koledzy jego też samę książkę nabywają w zdublowanéj wartości,— i tak następnie. Tym więc sposobem książki szkolne, krążąc ustawicznie w antykwaryjuszów kółku, stają się dla nich środkiem wyzyskiwania które stratę ogółowi przynosi.

Strata zaś ta znaczniejszą jest w samej istocie—rozlewa się nierównie szerzej jakby na pierwszy rzut myśli niejednemu zdawać się mogło. Obok uciążliwości materyjalnéj, obok podnoszenia i tak już wygórowanej normy edukacyjnych środków, staje się ona doniosłą z przyczyn rozleglejszych, moralnych. Jeżeli bowiem zwrócimy uwagę na psychiczną istotę ludzką; jeżeli uznamy, że w porze młodocianego rozwoju człowieka, wszystkie wpływy zewnętrzne przylegając do niego najłatwiej, z urobieniem wartości wewnętrznej najściślej się wiążą: to nie zaprzeczymy, że takie lekkomyślne zbywanie i nabywanie książek oddziaływa na uczącą się młodzież szkodliwie, wytwarza piérwszy zaród lekkości, marnotrawstwa; co więcej, rodzi brak zamiłowania książkowego otoczenia, nieposzanowanie znaczenia umysłowo-pomocniczych środków. Kto w okresie przedzierzgania się z dziecka na człowieka, w okresie, wymagającym obok umysłowego kształceaia nieustającej czujnosci moralnej, przywyknie do lekceważenia materyjalnej, zewnętrznej wartości książek, kto wtedy nauczy się nabywać je w miarę jedynie fizycznie nieuniknionej potrzeby a zbywać czymprędzej i byle za co jak tylko potrzeba ta zniknie:—dla takiego prawdopodobnie w epoce dojrzalszej obojętną się staje ich wartość wewnętrzna. I doprawdy jeżeli dziś mimo rozwijania się piśmienniczego ruchu wogóle spostrzegamy niezmiernie słaby pokup na poważniejsze nadewszystko książki,—jeżeli rzadko w którym dómu spotkamy się ze skromną choćby biblijoteczką podręczną; to objaw ten w znacznéj, zdaniem naszym, części, przypisać należy powyższej przyczynie.

Lecz jeżeli przyczynę tę uznamy w całéj rozciągłości jéj wpływu, jeżeli uznamy faktyczną doniosłość jéj skutków, to zarazem nastręczy się nam pytanie, w jaki sposób usunąćby ją można, jakie przeciw niéj znaleść się dadzą praktycznie możliwe środki? Równocześnie z odpowiedzią w tym względzie, nasuwa się najprzód uwaga, dlaczego katalogi książek naszych w ogóle, prowadzone są z pewnym zaniedbaniem, dlaczego nie widzimy w nich rozspecyjalizowania dzieł— systematycznego tych ostatnich układu? Jeżeli bowiem pp. księgarze-wydawcy bądźcobądź robią interesa korzystne, jeżeli opłacają im się wydawnictwa przedruków i rozmaitéj wartości beletrystycznych płodów, to wzamian należałoby pamiętać i o ułatwieniach dla nabywców. Wydając z całą ścisłością układane katalogi, należałoby ich nadewszystko ustrzedz od wyzyskiwania pokątnéj spekulacyi książkowéj. A jeżeli uwaga ta co do wszelkiego rodzaju książek właściwą się zdaje, to tym większéj nabiera ona słuszności odniesiona do książek szkolnych. Oddzielnych katalogów tych ostatnich nie znajdujemy wcale, pomimo że z każdym niemal rokiem wprowadzane bywają w edukacyjnych środkach nowe metody i podręczniki o istnieniu których niekiedy można posłyszeć z kuryjerkowych jedynie ogłoszeń księgarskich. Otóż, zdaniem naszym, katalogi książek tego zwłaszcza rodzaju, książek nabywanych z bezwarunkowéj potrzeby, winny być wydawane corocznie i nietylko ze szczegółowym wykazaniem cen, lecz nadto z oznaczeniem, jakie z nich, w jakim z naukowych zakładów i do której mianowicie klasy posłużyć mają, — niemniéj z uwzględnieniem wszelkich zmian wprowadzanych w edukacyjnym użyciu onych; — słowem katalogi podobne stanowić winny rodzaj **dokładnego przewodnika rocznéj biblijografii szkolnéj**. Sądzimy, że wydawnictwo takie dokonywane przez jednę choćby z piérwszorzędnych księgarni, nie narażając jéj na zbyt wielkie koszta dla ogółu uczącéj się młodzieży przynosiłoby faktyczną korzyść. Tym bowiem sposobem nietylko przygotowujący się do gimnazyjów prywatnie znaleźliby odpowiednią już i niezawodną informacyją, lecz nadto tak sami uczniowie jak ich rodzice, posiadając całkowity spis potrzebnych książek z dokładnym oznaczeniem ich ceny, byliby w stanie uniknąć wspomnianych spekulacyjnych nadużyć; co więcej, kupując książki u antykwaryjuszów, wobec możności porównywania z katalogiem, nabywaliby je tylko po cenach odpowiednio zniżonych.

Wreszcie zwracając uwagę na ten sam fakt znaczenia spekulacyi, nie potrzebujemy dowodzić szerzej, że ograniczenie jej o ile niezbędnym, o tyle co chwila bardziej naglącym się staje. Widzimy bowiem coraz liczniejsze szeregi garnącej się ku nauce młodzieży, z każdym rokiem spostrzegamy tłumniej zapełniane gimnazyja, zewsząd słyszymy wołanie—*światła-nauki!* Ułatwienie przeto drogi prowadzącej ku owym podniosłym celom— ułatwienie jej *wszechstronne, wyczerpujące*, oparte na uwzględnieniu wszelkich pomocniczych środków, stanąć winno w rzędzie obywatelskich obowiązków, odnoszących się do umysłowego i moralnego czuwania nad pracą naszej młodzieży.

Jan Jeleński.

PRZYGRYWKA.

— „Czemu ty śpiewasz i na coć się zdało?
Co było śpiewać, to się prześpiewało;
Byli przed laty potężni śpiewacy,
Znani po kraju — ba i jeszcze jacy?
Żaden skowronek co wzlata nad zboże,
Taką się pieśnią poszczycić nie może,
I żaden słowik, który letniej nocy
We dworskim sadzie śpiewa z całéj mocy. —
Słówka jak perły, a pieśni tak składne,
Że już im chyba nie zrównają żadne.
Młodzież za niemi przepadała cała—
Nie było panny coby nie śpiewała.
Słysząc jak wielcy bywali rycerze,
To dusza w ptasze porastała pierze,
I człek nikczemny czuł że rośnie w górę,

pod tym względem *niemieckich* księgarzy, a w Warszawie firm takich 3, czyż nasi mają pozostać obojętnemi? Dlaczego żaden z nich nie zajmie się urządzeniem w Warszawie i po kraju kolporterstwa książek naszych? Czyż dlatego że się takowe lat temu dwadzieścia nie udało, ma się i dziś nie udać? Wszakżeż zamiłowanie do czytania wzrosło — trzebaż z niego korzystać. Mamyż z założonemi rękami patrzeć, jak niemcy brać będą to, co nam się słusznie należy? Strzeżmy się! Konkurencyja obecnie jest możliwa, spieszmy! *N.*

* * *

Cyfra, to najpewniejsze świadectwo! Wymowniejsza ona częstokroć od długich rozumowań i rozwlekłych oświadczeń.

Obejmując redakcyją naszego pisma przyznajemy, iż zastaliśmy szczupłe koło prenumeratorów,—dziś liczba ich *podwoiła się.*

Robota więc nasza nie poszła na marne. Przemówiliśmy i zrozumiano nas. To daje nam otuchę i do dalszego zachęca działania.—Działajmy. W uznaniu spoczywa ożywcza siła. Mamy racyją bytu i jego warunki—chcemy pracować i dumni jesteśmy, że żądają od nas tej pracy. Pójdziemy więc raz wytkniętą drogą.

Co zaczerpniemy ze skarbnicy wiedzy, co na ścieżce żywota zebrać zdołamy, co z własnej wysnujem piersi — wam przyniesiemy, czytelnicy. Podzielimy się z wami i nauką i pragnieniami i radością i bólem, bo między nami i wami dziedzina myśli i duchowej pracy wspólną być powinna, bo jak mówi poeta: „jeden cel przed nami i przed wami stoi.”

Ale, aby wytworzyć tę zupełną wspólność, trzeba przedewszystkim żebyśmy się wzajemnie dobrze poznali: Wy nas już znacie ze słów naszych,—nie wiemy tylko czy dokładnie;—my często waszej potrzebujemy rady, prosimy o nią, żądamy jej. Między wami jest zapewne wielu ludzi dobrej woli — światłych i praktycznych, — a my nie uważamy się za nieomylnych.

Niektórzy z naszych prenumeratorów zrozumieli potrzebę łączności, o jakiej mowa i oto po Nowym Roku odebraliśmy kilka listów z uwagami co do kierunku i sposobu przeprowadzania naszych zasad. W jednym z tych listów radzą nam większą popularność w traktowaniu przedmiotów naukowych. Postaramy się skorzystać z tej rady. Na inne uwagi odpowiemy w czasie właściwym. Tutaj dla poparcia słów naszych przytoczymy jeszcze ustęp z jednej ze wzmiankowanych korespondencyj:

„W końcu, są słowa listu, odzywam się i do swoich kolegów, stałych prenumeratorów Opiekuna Domowego, aby z całą otwartością, za danym przezemnie przykładem, wystąpili do Waszej Redakcyi i wyspowiadali się ze swej strony, jakie wrażenie i pożytek z czytania Waszego pisma odnoszą, w czym ono może, lub powinno być zmienione na większą korzyść ogółu, tym tylko sposobem postawi się Redakcyją w możności udoskonalania Jej dzieła i to podług chęci i zamiarów, jakie mieć mogą ci, co go podtrzymują i upowszechnić pragną — tym bardziej, że zawsze powinna być pewna solidarność między Redakcyją pisma a jego prenumeratorami, im szczerzej obie strony się porozumieją, tym łatwiej i prędzej celu swego wspólnego dopną.”

Prenumerator Opiekuna Domowego.

* * *

Piszą do nas z powiatu Ihumeńskiego:

„W tutejszej okolicy jak w każdym kraju leśnym, głównym zatrudnieniem mieszkańców jest wyrób lasu na bale, klepki, dranice, it. p. produkta—także pędzenie smoły, fabrykacyja dziegciu i terpentyny. To wszystko prowadzi się na dość obszerną skalę i w miejscu skąd

Rośnie! het rośnie — aż kędyś za chmurę—
Aż tu i chmura na dole, a owy
Czuje, że słońce już ma blisko głowy.
Aż tu i słońce gdzieś ledwie u kostki
Na owe ziemskie świeci niedorostki—
A człek wciąż rośnie, rozrasta się, szerzy,
Jeszcze kruszyna a w niebo uderzy.
I tak w prostocie swojej myśli sobie:
Kiedy ja taki, to ja wszystko zrobię.
Otóż to pieśni, to mi takich dajcie,
Otóż to granie; to mi tak zagrajcie!
Ale po chłopsku to nie żadna sztuka;
Co mi stąd, że mi jak kukułka kuka,
Albo jak bocian klekcze nad stodołą;
Człek nie wyrośnie z tą pieśnią nad sioło.
Ani nie powie sobie, że jest wielki,
I że do niego świat należy wszelki;
Coś o kochaniu, coś tam o miłości,
Coś i o swoich, ale tak jakości,
Że mu to żadnéj fantazyi nie daje,
I że mu serce jakby sól roztaje.
Ej, to nic prawie—nam by inak trzeba,
Żeby aż człowiek głową sięgnął nieba!"

— „Kiedy wam milsze owo pańskie granie,
Toć już mój kmotrze albo idźcie na nie.
Ja tam chłop jestem i w tej mojéj głowie
To jeno żywie, co widać w dąbrowie —
To jeno śliczne, co duszę raduje,
To jeno prawda, co się w sercu czuje.
To jeno dobre czemu człowiek rady,
To jeno szczere w czym nie widać zdrady.
Podkówki lubię bo mi ognia krzeszą,
I skrzypki lubię, bo mi serce cieszą.
I jednę lubię, bo się kocham w jednéj,
I biednych lubię, bo i ja też biedny!
Z piosnką wesołą na jarmark się noszę,
A kiedy wracam, to śpiewam potrosze.
I kiedy orzę i też kiedy młócę,
I jak sam jestem, to sobię zanucę.
Bo gdy człek śpiewa, myśli że we dwoje,
I piosnka cieszy i robi się swoje.
Długie śpiewanie to dziewczęca sprawa,
To ich radości, to onych zabawa.
A parobczańskie i téż gospodarskie,
To krótkie śpiewki ale za to dziarskie!"
Niech się dziewczyna długą cieszy bajką,
A kozak dumką swoją bałabajką;
A góral dudą i kobzą wydętą,
I niechaj skacze jakby go najęto.
My zaś Krakusy i Wielkopolany
Na skrzypkach sobie gramy dla odmiany.
A co nam miłe to przynosim chętnie,
Jako plon złoty, co się zbiera skrzętnie.
Tak my piosenki niesiem z duszy szczeréj,
Coby je pisać złotemi litery,
I na wiek wieków wyryć na marmurze,
Takie są piękne choć nie bardzo duże —
Takie do serca, że już nad nie przecie
Piękniejszych piosnek pewnie nie znajdziecie.
Niech tylko ludzie będą tak jak one,
A wrócą pewnie te czasy marzone,
Kiedy to — kiedy ziemia nasza cała
Szczęściem jak bujnym zbożem porastała.
A kto do ręki weźmie te piosenki —
To właśnie jakby perły wziął do ręki.
A kto zaśpiewa, to mu się powróci:
I ona brzoza, co się z wiatrem kłóci,
I ona łąka która pachnie miętą,
I on kościołek, kędy chadzał w święto —
I ona karczma, gdzie hasał z dziewczyną,
I one chmury, co po niebie płyną,
I ona miłość, co się k'niemu śmiała,
I ta wesołość, co się gdzieś podziała!
I ona ufność, co tak człeka grzeje,
Żeby i życie oddał za nadzieję.

Teofil Lenartowicz.

HRABINA ELODYJA.

Powieść
Maryi Szeligi.

(Ciąg dalszy).

VIII.

Po dwutygodniowym w domu hrabiego pobycie, Emanuel pisał do Beaty.

„Dziwne tu wiodę życie, są chwile że złorzeczę uprzejmości profesora, która mię tutaj umieściła. Obca to sfera; ciężko mi w niej oddychać. Hrabia Władysław jest człowiekiem wykształconym, a nadewszystko wielkim panem. Jego salonowy układ, zręczne słowa, szyderczy bez zapału dowcip, mogą niezaprzeczenie zyskać mu uznanie w świecie elegancyi, gdzie może być wzorem dobrego tonu, i towarzyskiej ogłady; — ale bliżej widziany, wypowiadający dosyć cynicznie niskie i pospolite zdania, zrzucający maskę chłodnej grzeczności, i unoszący się łatwo, szczególnie traktujący swą żonę—jest niemiłym, i wzbudza jakąś nieokreśloną nieufność. Hrabina Elodyja, tak młoda że ją za córkę wziąłem niemłodego już hrabiego,—jest to stworzenie kapryśne, nadzwyczaj piękne, nerwowe, a przytym dziecko jeszcze, i entuzyjastka gwałtowna. W jej sercu i postępowaniu, dziwna mieszanina, kokieteryi z naiwnością, szczególniej poetycznej egzaltacyi, z pamięcią o etykiecie i dobrym tonie hrabiowskim. Jednak widocznie ona nie jest szczęśliwą, stosunek ich sztuczny i naciągnięty. Elodyja często okazuje niechęć mężowi, a dziecka swego prawie niewiduje! O! Beato! czyż podobna aby istniały takie matki na świecie!—Zniechęcony jestem do niej, a nieraz bardzo zmęczony jej na wpół dziecinną zuchwałą śmiałością. Hrabia lubi rozprawy, porusza ważne kwestyje, irytując się próżnie. Mamy zupełnie przeciwne zdania. Hrabina Elodyja nie wyjawia swego, bo jej poprostu przerywa absolutnie. Zbytek, próżniactwo, kwitnie tutaj bujnie. Najwięcej czynnym jest hrabia, lecz Elodyja całe dnie spędza na ubieraniu się, zabawie z pieskiem albo łabędziami, i nieco czyta książki wybierane przezemnie. Dwór ogromny, składa się z mnóstwa lokai, chłopców, garderobianych, i dziewcząt służebnych. Naturalnie, im które na wyższy posunięte urząd, tym mniej robi — cały ciężar spada na najniższy stopień posługujących. Stąd wzajemna nienawiść, i zapominanie o godności człowieka, aż smutek ogarnia, patrząc na tych ludzi, bezczelnych i zepsutych. Pan ich nie zwraca na służących, na ich moralne dobro i byt materyjalny najmniejszej uwagi—zapewne nawet nie przypuszcza, aby sługa miał duszę, tak jak każdy dobrze urodzony. Włościan uważa za robocze zwierzęta i wiecznie wyrzeka przeciw ich uwłaszczeniu. Pojmujesz ukochana Beato jak wiele potrzeba mocy nad sobą, aby im okazać oburzenie. Myśmy żyli tak idealnym życiem, tak otoczenie nasze dobrane szczęśliwie nie psuło nam harmonii, że teraz, znajdując się w świecie rzeczywistości, zdaje mi się, że z raju dostałem się nagle do piekła!

Zajęcia mam dużo — ale bardzo miłe i nie trudzące bynajmniej. Wieczorem, jestem najszczęśliwszy gdy mogę powrócić do siebie — wtedy gram, i myślę o tobie, Beato moja!—Kilka tygodni ledwo mija od rozstania się naszego, a tylko ty możesz pojąć całą moc mojej tęsknoty—cóż dopiero gdy trzeba będzie, przeżyć tak rok długi! Beato moja! mimo przykrej rozłąki, jeszcze myśmy szczę-

---

piszę;—prócz tego jak wspomniałem, jest tu o wiorst kilka należąca do tegoż majątku fabryka sukna jedyna w całej okolicy — urządzona na małą skalę, ale wyroby jéj są bardzo piękne, prócz sukien wyrabiają tu flanele i kołdry wełniane. Druga podobna fabryka na większą skalę jest w pow. Pińskim w dobrach P. Skirmunta—więcéj w całéj gubernii Mińskiéj niéma. Wspomniałem także o tym, że w Borysowskim pow. w majątku hr. Wołowicza urządza się przez spółkę akcyjonaryjuszów wielka fabryka wyrobów leśnych jako to: dranic (v. gontów), zapałek i octu drzewnego. Wielka szkoda że przy takim bogactwie lasów gospodarstwo w nich prowadzone było i jest dotąd jak najgorzéj i najniedbaléj — prawdziwie można powiedzieć że marnowano dary boże. Skąd też lasy tutejsze są już znacznie przetrzebione a miejscami zupełnie wyniszczone i podobno na całéj Litwie niemasz już owych gęstych niebotycznych borów, jak to sobię wyobrażać mogą ci, co tu nie byli i nie widzieli na własne oczy zniszczenia, jakie w tutejszych lasach panuje. Nie tysiące lecz miliony drzew leżą powalone i gniją bez żadnego użytku, i smutny przedstawiają widok, kto wie czy za lat kilkanaście nie zabraknie już drzewa, które tu tak mało cenią — (część ich powaliły wiatry i starość ale więcéj zapewno legło z ręki nieprzezornego człowieka, który aby miéć jednę gałęź nie waha się ściąć całe drzewo i rzucić je na pastwę zniszczenia). Przetrzebienie lasów i przeprowadzenie linii kolei żelaznych wypłoszyły zwierzynę; i tak że w tutejszéj okolicy prócz zajęcy nic już nie znajdują; łosie i niedźwiedzie pojawiają się jeszcze niekiedy, ale o jeleniach, sarnach i dzikach ani słychać. Włościanin tutejszy z natury i sposobu życia jest myśliwym, każdy z nich prawie posiada strzelbę i wielu jest między niemi doskonałych strzelców, w ogóle posiadają oni zręczność i zdolność do rzemiosł — w każdéj większéj osadzie jest po kilku dobrych rzemieślników, są i tacy, którzy prawie bez nauki doszli do pewnéj biegłości w rzemiośle, poznałem takiego samouczka ślusarza, młodego chłopaka, który potrafił sam zrobić sobie kurek do strzelby dwururnéj osadzić ją i t. d." W ogóle lud tutejszy jest pracowity i dość zdolny, choć na pozór wydaje się ociężałym i tępym; cichy i zamknięty w sobie więcéj jest może myślącym i uczuciowym niż lud polski, który lubi więcéj życie gwarne i zewnętrzne okazy. Kommunikacyja za Mińskiem i Wilnem jest już podobno otwarta, wiem przynajmniéj z pewnością, że przed parą tygodni zjeżdżała tam komisyja dla zbadania i otwarcia ukończonéj linii kolei. Między Mińskiem i Kijowem (przez Romny i Kursk) ma być otwarta komunikacyja dopiero na przyszłe lato. O cholerze dzięki Bogu, niesłychać, przynajmniéj po wsiach, choć podobno w niektórych miasteczkach a także i w Mińsku były wypadki śmierci. Z resztą cicho wszędzie, głucho wszędzie! Na zakończenie jako osobliwość godną zanotowapodam podam ten miejscowy szczegół, że tu niemasz zwyczaju czyszczenia kominów. Dom, w którym mieszkam, zbudowany przed 40-tu czy więcéj laty a ani razu nie oczyszczano w nim kominów, pożaru jednak nie było nigdy. Otóż, jak mi objaśniono, środek do uniknięcia zanieczyszczenia kominów sadzą jest ten, żeby go wewnątrz gładko wytynkować, co się uskutecznia stopniowo przy budowaniu ich—a także poraz pierwszy zapalić w piecu drzewem olszowym."

* * *

Z liczby projektów jeszcze w roku zeszłym podanych, na bliższą uwagę zasługuje projekt założenia wzorowego warsztatu dla praktykantów stolarskich. Powiemy o nim słów kilka, sądząc, że wiadomość ta bardzo przydać się może wielu naszym czytelnikom; tym szczególniéj, którzy mają starsze dzieci i troszczą

śliwi, bo się rozumiemy, kochamy i szanujemy wzajem! Myśli nasze, uczucia, jednakie —to i cóż znaczy przestrzeń nas dzieląca?... Myśmy ubodzy, nieznani, pracujący na chleb powszedni—a jednak nie zamienilibyśmy się na bogactwo i zaszczyty! To jest potęga miłości prawdziwej i poznanie drogi prawdy! —Czemuż ludzie tak mało ją znają? czemu tyle małżeństw niedobranych, kobiet nieszczęśliwych, mężczyzn znudzonych,—tylu marnotrawników trwoniących dary Boże, tyle niezadowolnionych z swego losu?... Tym wszystkim brakło prawdy i miłości w życiu"!

Elodyja siedziała w lodżyi pałacu, pośród kwiatów, ubrana strojnie i bawiła się obrywaniem listków pysznego bukietu leżącego na jej kolanach. Po chwili wszedł Władysław. Od kilku tygodni, często bywał w wybornym humorze: — nie nudził Djoli, wyjeżdżał w sąsiedztwo i widocznie zostawał pod dobrym jakimś wpływem.

— Hrabina Elodyja w stroju najpiérwszej mody! czy masz zamiar jechać gdzie? bezemnie?—wyrzekł pytająco hrabia.

— Nie! tylko czekam na Fredziową, która obiecała mię odwiedzić—odrzekła Djola.

— Jak uważam, sympatyzujecie z sobą?

— Bardzo!

— A jednak nie zapominaj mojej przestrogi przy oddaniu piérwszej wizyty!

— Jakaż to była?—spytała obojętnie.

— Że *nie wolno* ci tych pań naśladować!

— Dziwny masz sposób wyrażania się! i dlaczegóż chwalisz Lucynę, czemu w towarzystwie jej najwyższą znajdujesz przyjemność?

— Bo to jest miła i dystyngowana kobieta —wyborna do zabawy, dowcipna i zalotna. Charmante femme enfin! ale stanowczo sobie nie życzę, abyś ty była do niej podobną.

— Z powodu?

— Że ja chcę mieć żonę dla siebie! A mąż pięknej Lucyny może podziwiać jej gracyją i niezrównany wdzięk, tylko wtedy, gdy otoczona wielbicielami stara im się podobać!

— Fredzio tak samo postępuje—w salonie jest miły i słodki dla wszystkich kobiet, tylko dla żony zostawia męty złego humoru!

— To co innego! mężczyźnie wybacza się, może i powinien nawet być grzeczny dla dam, żartować, zwodzić, choćby kochać się troszeczkę—pour passer le temps—ale zabawiając cudze żony, swojej niech pilnuje dobrze, tymbardziej też jeśli ją kocha, jak ja moję malutką Djolę!

— To też formalnie mię więzisz! właśnie Fredziowa mówiła wczoraj, że taka miłość u ludzi naszego towarzystwa, takie gwałtowne strzeżenie mnie od ludzkich oczu, jest nadzwyczaj śmieszne! tak! powtórzyła z naciskiem i tryumfem Elodyja — nadzwyczaj śmieszne!

— Będziemy bywać, a bal pogodzi nasze kółko z nami, ale ty nigdy nie będziesz miała ze mnie tak wygodnego męża jak Fredzio dla pani Lucyny! Jesteś moją, i należysz do mnie wyłącznie?

— Jak sprzęt? rzekła pogodnie Elodyja.

— Nauczyłaś się ironii od swej nowej znajomości, nie do twarzy ci z nią—dziecko takie nie powinno krzywić do pocałunku stworzonych usteczek, szyderczym śmiechem. —Zle grasz swą rolę! porzuć ją!

Djola gwałtownie szarpała kwiaty. Kilka łez padło na nie.

Hrabia Władysław patrzył na nią z uśmiechem, bo była śliczną w tej pozie.—Potym powstał i wciągając żółte rękawiczki, rzekł z cygarem w zębach:

— Żałuję, że nie mogę dłużej admirować twego cudownego uśmiechu, z którym ci jest przepięknie. Ale jadę na spacer! Do widzenia moja czarująca Djolo! mój aniele, o którego jestem zazdrosnym do szaleństwa—przez miłość naturalnie!

Pocałował w bieluchną szyjkę i odszedł. Elodyja rzuciła bukiet, wstała, znów siadła, płacząc w rozdrażnieniu, drąc batystową chusteczkę drobnemi paluszkami. Wychyliła się w ogród, znużonym okiem powiodła po znajomych, wiecznie jednakich klombach i nagle zarumieniła się, bo postrzegła Emanuela—skinęła nań więc spokojnie wrócił się ku pałacowi, i wkrótce stanął przed nią z lekkim ukłonem.

— Co pani rozkaże?—spytał.

Ona rozpłakana, cała obrzucona szczątkami poszarpanych kwiatów, podniosła zalane łzami błękitne oczy — i rzekła drgającemi usty:

— Nudzę się!...

— A! pani hrabina się nudzi! nudzi się! i mnie woła dla zabawienia jej! — wielki to dla mnie zaszczyt, ale nie potrafię się z zadania wywiązać!—odparł gorzko Emanuel.

— Pan szydzisz! a ja mówiłam szczerze! czy za prawdę płaci się szyderstwem?... pytała z wyrzutem Djola. Widzisz pan, że płaczę, że cierpię, że się nudzę okropnie, więc radź pan co! pan taki spokojny i szczęśliwy!.. Siadaj pan i mów!

Emanuel patrzył na nią z podziwem i litością.

— I cóż ja pani powiem?...

— Powiedz mi pan, co czynią młode kobiety, aby się nie nie nudzić?

— W wielkim świecie bawią się—ziewając.

— Mnie nie wolno się bawić; Władysław nie chce!... szepnęła.

— Ubogie kobiety nie nudzą się, bo pracują!

— Te są bez wykształcenia, łatwo nie nudzić się im, bo wiecznie toną w jednakowej ciemności bez pragnień i marzenia—bez drażliwych nerwów wreszcie, które są według zdania Władzia wszystkiego powodem!

— Więc pani sądzi, że kobiety pracujące należą do najniższej klasy społeczności?

— Kobiety gminne przecież!....

— Co pani nazywa *gminne*?

— Ależ — moja panna służąca, moja modniarka, szewcowa, żony moich lokai. Są to naturalnie kobiety gminne!

— Może się pani bardzo mylić — ludność pracująca nie jest gminem—w pogardliwym znaczeniu tego słowa, jakie im pani nadajesz. W przytoczonym nawet przykładzie, można znaleść pewne odróżnienie, protestujące twierdzeniu pani! I tak: panna służąca, może być ubogą dziewczyną, ale ta, która przez ciągły pobyt na służbie w wykwintnym dworze, i zamiłowanie książek, przypuśćmy, posiada praktyczne i teoretyczne wykształcenie, przytym zacność i prawość charakteru, oraz pracowitość chwalebną, nie jest kobietą gminu. Podniosła się moralnie nad najniższą warstwę społeczeństwa, zasługuje na szacunek od tych, którzy z wszelką pomocą i łatwością przyszli do tego stopnia wykształcenia głowy i serca, jakie ona z trudem zdobywać musiała!

Emanuel czekał zaprzeczenia Elodyi—ale ona z wlepionemi w mówcę oczyma słuchała.

— Następnie—modniarka pani, może być osobą z wykształceniem, posiadającą wszystkie przymioty dobrej żony lub matki, a przytym mając szlachetną duszę, która zamiast ją

---

się o ich przyszłość. Wiadomo, że w ostatnich czasach wiele rodzin, nawet zamożniejszych, oddało synów swoich na naukę rzemiosła, lecz wiadomo i to, że nierównie więcéj do wspomnionéj nauki znalazłoby się kandydatów, gdyby rzemiosła u nas nie przedstawiały pewnych bardzo ważnych niedogodności. Oto, między innemi, zbyt długi bo 4 do 5 lat trwający termin, szkaradny system nauczania, złe towarzystwo, a w końcu szorstkie i często nieuczciwe postępowanie czeladników i majstrów z uczniami, stanowią treść zażaleń tych rodziców, którzy już oddali dzieci swoje do rzemiosła i przedmiot obawy dla tych, którzy je dopiero mają zamiar tam oddać.

Celem usunięcia podobnych szkopułów w nauce stolarstwa *p. St. Gaszczyński* zamierza przy swym zakładzie otworzyć oddzielny warsztat dla praktykantów. Młodzi ludzie zgłaszający się do niego winni mieć skończonych lat 15 i świadectwo przynajmniéj z 4-ch klas gimnazyjalnych. Mogą być przychodniemi, lub mieszkać obok warsztatu w lokalu przyzwoicie utrzymanym; uczyć się będą rzemiosła pod kierunkiem samego majstra, przytym mieć będą wykład rysunków i biblijotekę dzieł treści specyjalnéj i ogólnéj, na czytanie których czas zostanie im przeznaczony. Za naukę wnosić będą oddzielną opłatę; cały kurs trwać ma 2 lub 3 lata i rozpocznie się z chwilą gdy przynajmniéj 10 kandydatów zostanie zapisanych.

Projekt ten znajduje się w Nr. 50 *Gazety Przemysłowo-Rzemieślniczéj* z r. z. Zalecać go nie widzimy potrzeby, wiedząc aż nadto dobrze, że sami czytelnicy wartość jego uznają i z zamiaru p. Gaszczyńskiego, o ile on ich dotyczy, skorzystają.

* *
*

A propos Gazety Przemysłowo-Rzemieślniczéj; skończyła ona w tych czasach piérwszy rok swego istnienia, rok nieosobliwy dla niéj; jaki zaś będzie następny,—przyszłość pokaże; a istotnie ciekawe to pytanie.

W kraju naszym znajduje się kilkadziesiąt tysięcy rzemieślników i kilkaset fabryk i otóż pismo dla fabryki i rzemieślników przeznaczone upaśćby musiało, gdyby kosztów wydawnictwa nie dopełniała sama Redakcyja i gdyby wieli współpracowników nie brało bezinteresownego w nim udziału.

A przecież w piśmie tym nasi rzemieślnicy znaleść mogą wiele użytecznych wskazówek, tak z zakresu ich specyjalności, jak i z tego, co się do ich oświaty i dobrobytu odnosi. I nie jest ono bynajmniéj drogie, kosztuje bowiem w Warszawie rs. 4 na rok, i dość niecałe 2 kufle piwa mniéj wypić, aby je posiadać. W ostatnich czasach Redakcyja otworzyła u siebie pewien rodzaj kantoru pośredniczącego między dającemi pracę i szukającemi jéj, gdzie czeladnicy i uczniowie bezpłatnie dowiadywać się o zajęciu i swoje adresa zostawiać mogą,—lecz iluż z nich z téj dogodności skorzysta, jeżeli pismo w kilkuset egzemplarzach zaledwie rozchodzi się między rzemieślnikami. I co robić w podobnym położeniu? najwyżéj można czekać cierpliwie lepszych czasów dla naszych rzemieślników, czasów upamiętania, które oby rychléj nadeszły, bo na obecnym stanie tracą oni sami najwięcéj, a i my przy nich.

* *
*

„Od kilku dni (mówi jedno z pism tutejszokrajowych) Pacanowianie z podziwieniem zwracali uwagę na... niezwykle olbrzymiego wzrostu wojskowego, ukazującego się na ulicach miasta. O ile wiemy był nim p. *X.* Pacanowianin, lat 24 liczący, który od lat 6-ciu służy w wojsku i obecnie przyjechał na święta do rodziny,—wczoraj zaś opuścił Pacanów." Do czego te nasze nieszczęśliwe pisma dochodzą!... Żałujemy tylko że wspomnione pisemko nie pomieszcza drzeworytów—niewątpli-

nakłonić do rozmaitych sposobów wygodnego próżniactwa, kazała jej się zająć pracą, na jaką się mogła zdobyć. I ta druga już nie jest kobietą gminu!

— Pan masz dziwny dar obrazowania przedmiotu!... Tak!... ja wierzę w pańskie słowa!... ah! ja nigdy o tem nie pomyślałam dotąd!... tak mało znam ludzi!...—mówiła powoli i smutno Djola—mój mąż ma słuszność jeszcze jestem dzieckiem!...

Ciekawość błysnęła w jej załzawionych oczach—uśmiech lekko rozchylił jej koralowe usta, białe ząbki ukazały się, bielsze od pereł uryjańskich.

— Trzeba się stać kobietą!—odparł poważnie Emanuel. Mylę się, wszak pani nią już niezawodnie jesteś?

— Bo?—pytała Djola.

— Bo pani byłaś narzeczoną, teraz jesteś żoną i matką — przeszłaś pani wszystko, co dziewicę przeobraża na kobietę, wiosenny pączek na pełny kwiat rozwija!

Elodyja zarumieniła się gwałtownie.

— Nie powiedziałeś mi pan nic nowego! —rzekła.

— Uprzedziłem panią hrabinę, że źle wyiążę się z zadania i roli bawidełka! — odparł zimno Emanuel, wstając z miejsca, aby się pożegnać.

— Nie! nie chodź pan!... czy obraziłam pana?... proszę mi wybaczyć!... powiedziała z serdeczną prostotą, ujmującą za serce, i wyciągnęła białą rączkę trochę wyzywająco. Może wielu na miejscu Emanuela złożyłoby na niej gorący pocałunek, znajdując w danych warunkach sytuacyi zupełne usprawiedliwienie;—narzeczony Beaty ledwo dotknął miękkiej i białej dłoni i nie zmienił poważnego wyrazu twarzy.

— Pan jesteś nielitościwy doprawdy!... ja się tak skarżę na nudy, a pan chcesz uciekać?

— Przypuszczam, że pani hrabina może znaleść tysiące przyjemniejszych rozrywek, niż gawędę ze mną!

— Czy to zemsta za mój frazes?

— Nie pani! mścić się niezwykłem! — Dla mnie, zręczna szermierka słów, dowcipne ukłucia i zaczepne odporu zwroty, stanowiące podstawę i materyjał konwersacyi salonowej są nieznane wcale!—Jestem człowiekiem naukowej pracy, obcą mi wysoka sfera salonów —moje myśli, słowa i czyny są inne! — Mówię to co myślę, postępuję zaś tak, jak mi nakazują moje przekonania!

— Albo pan jesteś dla mnie człowiekiem zagadkowym! — odparła szybko Elodyja, drugi Monte-Christo! którego historyją czytałam cichaczem przed guwernantką!

— Niechże pani z łaski swojej oszczędzi sobie rozczarowania, bo podnosząc mię do wysokości bohatera, niesłusznie mię pani otacza aureolą tajemniczości!—Nie przeszedłem żadnych sławnych przygód, najspokojniej spędziłem życie, ucząc się zapamiętale i dając lekcyje, aby mieć na opłatę kosztów własnej edukacyi. Od lat trzynastu mego życia, to jest od trzeciej klasy, wiecznie jedno i toż samo! I oto nie ma już świetlanego nimbu wokoło mej głowy! — mówił żartobliwie Emanuel.

— Przeciwnie pan jesteś dla mnie nowością—takich zdań nie słyszałam od nikogo, nikt tak nie postępował jak pan! Jesteś pan bohaterem, książę Emanuelu! I nie wiem czemu wzbudzasz pan szacunek dla swej osoby i zasad! — ja nie zupełnie je znając, wierzę w nie, bo ile razy pan mówi, mnie się zdaje, że ktoś wybrał z mej głowy myśli, i sformułował je w wyrazy, czego ja zrobić nie mogłam. Toż samo czułam słuchając gry pana, każdy ton rozumiałam, jakby z mej własnej wychodził piersi!... mówiła jakby do siebie Djola. (*D. c. n.*)

CO MAJĄ CZYNIĆ SZKOŁY

ażeby wyrobić w młodzieży charakter samodzielny?

(wyjątek z dziełka niemieckiego pedagoga

D-ra Piltza.)

przekład Jadwigi O.

(Ciąg dalszy.)

Przystępując do wyrabiania samodzielności, zastanówmy się przedewszystkim, kto to jest samodzielnym? Samodzielnym—jest ten człowiek, który własnym przekonaniem kieruje się w życiu: który podług swoich własnych zasad myśli i działa—i umie się tak postawić, iż nie potrzebuje oglądać się bezustannie na czyjąkolwiek pomoc. Przeciwieństwo stanowią tu wszystkie ludzkie zera, które swoje poglądy, z głów cudzych wysnuwają, których myśli i czyny, od tysiąca okoliczności w świecie zależą. Cóż jednak ma czynić szkoła by zapewnić młodzieży ową niezachwianą samodzielność?

1) *Oto: moralne wychowanie — na pewnych i stałych zasadach ugruntować.*

Bo jeżeli w duszy dziecka wszystko, że tak powiem—jest chwiejne—wszystko się waha, a nic pewnego, nic ugruntowanego w niej niemasz; to i moralność jego staje się chwiejną, niestałą – i lada okoliczność może ją wyprzeć z jéj zasad. Siła i pewność w wychowaniu istnieją wtedy; kiedy są tak ugruntowane, że nietylko kierują całą umysłowością, ale i każdy obcy wpływ odeprzeć są zdolne. Czy zawsze staramy się wyrabiać tę podstawę, ową siłę, moc i stałość charakteru, w naszéj młodzieży? Z ręką na sercu, powiedzcie koledzy! Jakże często przekonywamy się, *iż lada burza w życiu*, lada niepowodzenie niweczy zasiewy nasze w sercach młodzieży. Najmniejsze zamięszanie, powaby ideałów, przez nas w umysły dzieci wszczepiane, kruszy i zaciera; a podstępna i przewrotna dyplomacyja życia, poczciwie zasady, jakiemismy dzieci nasze wyposażyli—obala... I nasi uczniowie służą za igraszkę drugim, pozwalając kierować sobą obłędowi i głupocie! Ileż to razy nietylko dochodzi uszu naszych, ale i przekonywamy się, że to, cośmy wykładali naszym uczniom, lada wietrzyk rozwiewa; albo, iż wychowańcy pieczy naszéj powierzani, z téj moralnéj wysokości, do jakiéj wznieść ich usiłowaliśmy, wgłąb ciemnej przepaści, i to tak łatwo zepchnąć się dają, iż zdawać się musi, że najmniejszego punktu oparcia w sobie nie mieli... Jakżeto nas boleć—i zarazem pobudzać powinno, do wyszukiwania wszelkich możebnych środków, któreby zasady moralności w młodzieży tak dalece utrwalić mogły; iżby one mimo wszelkie wpływy stały silnie, jak niezachwiana opoka! Wprawdzie i dom wspierać nas powinien. Do niego należy—zgłębiać charakter dziecięcia, jasno w nim widzieć i pojmować, a szczególniej świat otaczający dziecko, starać się dobrze poznać. Na zasadzie takich wyobrażeń, jakie jeszcze Pestalozzi za najpewniejszą drogę do rozwinięcin władz umysłowych dzieci uznawał, powinna szkoła dalej rzecz prowadzić. Lecz kiedy wykłady nasze świeżemi i odpowiedniemi nazwać mo-

---

wie bowiem dałoby nam portret owego *wielkiego* człowieka... Co za szkoda!

* *
*

Od śmierci Moniuszki, w dziedzinie muzyki despotycznie prawie panuje u nas bezwładność: opera nasza spoczywa, a na niwie kompozytorskiéj zaledwie kilka drobnych kwiatów zakwitło.

Za życia Moniuszki o ile pozwalały siły szczupłéj gromadki, która mimo to jest jedyną naszą operą, w kilka miesięcy, jeżeli nie coś świeżego to przynajmniej odgrzewanego podawano publiczności, dzisiaj zaś widocznie śpiewacy wzięli sobie za zadanie odzwyczaić publiczność od tych niespodzianek. Cel oryginalny, lecz nie do pozazdroszczenia!

Niezbyt korzystniéj spisują się nasi kompozytorowie. Pan Żeleński da zapewne poznać jaki nowy utwór dopiero na własnym koncercie a inni... niestety! innych prawie nie posiadamy. Antoni Stolpe zawcześnie umarł a pp. Zarzycki i Noskowski nie zaszli jeszcze *w głąb* czarodziejskich bram twórczości muzycznéj. Na koncercie Wilhelmiego dał nam poznać p. Zarzycki *„uwerturę uroczystą.“* która jako pierwszy utwór orkiestrowy dowodzi, że autor ma talent, lecz nie dostatecznie jeszcze zawładnął środkami technicznemi. Wskażemy tu jako przykład, że z powodu niestosownego ugrupowania instrumentów, w najsilniejszych miejscach, nieraz akordy brzmią pusto—brak im spoistości, a kontrapunktyczne figury powierzone rozmaitym instrumentom nikną w ogólnym tle i wzajemnie się zacierają. Już to nierównie wyżéj stoi p. Zarzycki jako autor pieśni, których właśnie w tych dniach wyszedł (u Senewalda) zeszyt drugi. Jest w nich już rozwinięta świadomość twórcza, jest pewna swoboda, harmonijność form chociaż znów rażą zbytkiem podobieństwa w przeprowadzeniu myśli, brakiem indywidualnéj cechy i niepraktycznym traktowaniem głosu ludzkiego.

Ostatnich dwu zarzutów niemoglibyśmy zastosować do pieśni pana Noskowskiego. Młody ten kompozytor wydawszy w ostatnich czasach (u Gebetnera) kilka lirycznych utworów, zadziwił nas ich wartością i wiele od siebie nadal spodziewać się kazał. Mówimy to z tym większą nadzieją, że właśnie w tych dniach p. Noskowski wyjechał dla dalszego kształcenia się za granicę. Oby tylko w obcéj atmosferze, nie zatracił piętna indywidualnego, cechy rodzinnéj, którą się dotychczasowe jego utwory odznaczały.

* *
*

Od ogólnych uwag z dziedziny muzyki przejdźmy do szczegółowych jéj produkcyj.

Na ostatnim środowym wieczorze w Towarzystwie Muzycznym przekonaliśmy się że dwa fortepiany więcéj robią hałasu od jednego, a to z łaski koncertu patetycznego Liszta. Przypomina to cokolwiek znaną odpowiedź pewnego muzyka, który gdy go zapytano: „co jest nudniejszym od fletu“—„Dwa flety!“ odpowiedział.

Ale żart na stronę! Otwarcie wyznajemy że ów koncert na dwa fortepiany potwierdził nasze zdanie wypowiedziane o Liszcie z powodu Mszy koronacyjnéj, a bardziéj jeszcze od tejże odznacza się niejasnością i jakimś dziwnym miotaniem się myśli, targającéj prawa kompozycyi i estetyki. Jakże nam błogo było potym odpocząć przy dźwięku prostéj piosenki Moniuszki! Była to rażąca antyteza i niejeden słuchacz zapewne, porównywając naszego mistrza z Lisztem przekonał się, że furyja—to jeszcze nie natchnienie, a hałas—to nie muzyka.

Nie powiemy, że panna Wojakowska dobry wybór uczyniła, śpiewając aryją z Wolnego

żna? Nie wtedy, kiedy płynną obdarzeni jesteśmy wymową, ani skoro doborowemi wyrazami i kwiecistym stylem staramy się podrażnić dziecinne uczucia; wpływowym wykład nasz będzie wtedy, gdy umysł dziecięcia tak go przyjmie, jak owa spulchniona, uprawiona i żyzna ziemia, rzucony w nią zasiew. Co zaś żadnego przyjaznego gruntu w duszy dziecka nie znajdzie, tego w nią wkorzenić niemożna. Trudno się więc spodziewać: że nauka nasza skuteczną będzie, lub marzyć o tym, że choć o krok naprzód posunąć się zdołamy, jeśli wpiérw dokładnie nie zbadamy duszy dziecka.

Prawda, że zasady te są stare, że rozkrzewicielem ich był jeszcze Rousseau, który je w swoim Emilu z wielką nakreślił trafnością; lecz to kardynalne zadanie pedagogiki, nie jest jeszcze dotąd, ani zgłębione z całą dokładnością, ani przeprowadzone we wszystkich kierunkach. Gdyby tak było—to dziecku w którego uszach brzmią jeszcze piosnki czułéj matki, nad jego nucone kolebką, nie podawanoby religijnych potraw całkiem dla niego niestosownych; nie wystawianoby mu rzeczy dla umysłu jego nie przystępnych, nie wyrażanoby się w sposób niezrozumiały i bez treści. A ja sam słyszałem nie jednego Teologa z całym namaszczeniem, stylem pełnym retorycznych ozdób przemawiającego do dzieci! I może sądził taki mówca, że wielkie na nich zrobił wrażenie? upewniam najmocniej, że dzieci żadnéj nie odniosą korzyści, jeżeli mówca nie dotknie mową swą religijnego nerwu, który się już pierwej w nich rozwinął. Tak samo dzieje się z każdym przedmiotem: póki skłonności dziecka nieprzyjdą nam w pomoc; czyli—nie wyjdą niejako na spotkanie naszego wykładu; póty nic nie wskóramy; póty pozostaniemy tylko bezsilnemi pracownikami, i choć przemawiać będziemy do uszu słyszących, to jednak serca pozostaną obojętne. Słowem—wykład nasz będzie głosem wołającego na puszczy. Wiadomości udzielane, chwilę zaledwie w pamięci dzieci pozostaną; tak—iż na wieść o odłożonym egzaminie, wyznają nam otwarcie: „Nie—tak długo nie spamiętamy, czegośmy się uczyły."

Zasiewajmy więc tylko w przygotowane umysły, a wtedy: jak na użyźnionéj, urodzajnéj ziemi rośliny, tak nasze ziarno nauki wschodzić będzie—i wzrastać: i jak owe zdrowe, mocne drzewa w lesie, opierać się burzom i nawołnicom!.. Aby zaś to ugruntowanie sił duchowych trwałym się stało: wpływ wychowawczy nie powinien być zbyt gwałtowny, ani też użyte środki zbyt różnorodne. Ale wszystkie pojedyncze działy, tak kształcenia, jak wychowywania, muszą być z sobą w nieustannym związku, by jedne drugie wspierały. Nauczyciel zaś strzedz się powinien zbytecznego pośpiechu, do którego skłania go zwykle niecierpliwość, i zbytnia o postęp gorliwość; a co właśnie szkodzi: bo w różnorodnych stopniach, jasnego poglądu i ugruntowanéj pewności nie dopuszcza.

Dla tego sądzę—nie odrzeczy tu będzie przypomnieć o powtarzaniu rozpoczętego kursu. W książkach dla Pedagogów nie należy pomijać téj ważnéj kwestyi, zwłaszcza, że dla niejednego, zwrócenie uwagi w tym względzie, przydać się bardzo może. A mówię to z doświadczenia wśród długich lat nauczycielskiéj pracy nabytego. Powtarzanie—niezawsze jest wprawdzie przyjemne; niektórzy też nauczyciele tak go unikają, iż dobrzeby było, na planie nauk, jednę lub dwie godziny powtarzania zamieścić. Przystąpiwszy zaś do powtarzania, wtedy dopiero należyty osięga się skutek, skoro uczniowie udzielone im wiadomości, już dokładnie sobie przyswajają. Baczyć przytym potrzeba, żeby nie wprowadzić zamięszania, w raz wyłożonych wiadomościach; ale dać raczej jasny i pełny pogląd na całość przedmiotu. Wreszcie do powtarzania należy dołączyć wyprobowywanie postępu uczniów, i do tego dalszy wykład stosować. Przytaczać dziecku pojęcia przeciwne, starać się pozornie przekonywać, że niby są słuszne; przytoczone kwestyje coraz w inny sposób i z innéj strony zaczepiać, kazać dzieciom między sobą rozbierać, powtarzać i t. d.

Przez takie staranne prowadzenie nauki ustalają się pojęcia i poglądy; wytwarzają przekonania, które samodzielnego człowieka znamionują; i zarazem, stają się niejako jasnemi gwiazdami, które mu wśród ciemnych dróg życia przewodniczą. A dla czego w tych czasach politycznego i religijnego zamięszania, wielu chwieje się w tę i owę stronę? Czemu i od pojedyńczych stronnictw, raz są przyciągani, to znów odpychani, a w końcu i to dość często, wpadają w opłakany stan pesymizmu? Oto dla tego, że im zbywa na rzetelnych pojęciach, i gruntownych poglądach na życie. Dla czego tylu ludzi, marnieje, że tak powiem, moralnie. Oto—bo główne podstawy moralności nie weszły w ich krew i ciało, siłą przekonania? bo ich tylko pamięciowo uczono.

Zaprawdę, nie bezbożność świata jest przyczyną, że ludzie stają się coraz bardziej obojętni na wszystko, co jest najświętszego: tylko metoda, jaką przyjęto w wykładzie moralności, która nie stara się trafić do przekonania. Światło, jakie dać może katechizm na pamięć wyuczony, jestto nauka, którą zwiewa pierwszy lepszy powiew; gdy tymczasem moralność, oparta na przekonaniu, ze zdrowym ciepłem i serdecznym uczuciem dziecku wyłożona, opiera się z mocą każdemu napadowi, a życie zgodne bardziej ją jeszcze opromienia i uświęca.

Jeżeli chcemy młodzież naszę z przekonaniami uczynić samodzielną, to powinniśmy starać się usilnie o rozwinięcie jéj władz duchowych, a to za pomocą jędrnego wykładu nauk; przez zbawienne powtarzanie i zwięzłe łączenie ich między sobą, oraz utrwalanie ich w pamięci, rozsądnemi próbami. *(D. c. n.)*

Z WIATREM ZACHODNIM.

(Kartki paryskie.)

31 grudnia 1872 r.

....Wypogodziło się niebo, spadły wody, wyschły chodniki. I to wszystko prawie w jednéj chwili, akurat w wigiliję Bożego Narodzenia. Trudno też sobie wyobrazić, co się z tym biednym ludem dzieje: wysypał się na ulicę, z dziećmi, z betami, z pościelą i bielizną prawie. Ten wykręca zmokłą pod strychem kurtkę, ów buty pucuje, tamten rozkrzyżował ręce i radby, zdaje się, całe słońce wciągnąć w pierś obnażoną. Dzieci, głęboko zdziwione niespodziewanym zjawiskiem, wrzeszczą, jakby się wczoraj narodziły. Swawolne to plemie czuje, że w chacie niéma komu na nie poswarzyć. Matki pobiegły czemprędzéj na targ: ryby, słyszę, nawaliło tyle, że ją darmo rozdają. Darmo — nie, ale taniéj od chleba. Szesnaście łokciowych okuniów, 30 susów!! dwie i pół kopiejki okuń!... Chwałaż Bogu, bo doprawdy niejeden już wątpił w miłosier-

---

Strzelca, bo ta ani do usposobienia, ani do głosu jéj nie przypada. Utalentowana skądinąd śpiewaczka, nie była w stanie podołać technicznym trudnościom téj aryi, a brakiem *mezza-voce* w pierwszéj części, uczyniła ją bezbarwną. Zwracamy uwagę panny W. że jedynym środkiem postępu jest praca. Bez niéj nie podobna wniknąć w szczegóły, nie można zdobyć frazowania a nawet trudno jest nauczyć się należycie sznawać dzieła wielkich mistrzów do jakich i Weber należy. Tak sławna artystka jak Schreoder-Devrient, mimo że stworzyła postać Agaty swoim talentem, w wielkiéj jednak była obawie czy podoła zadaniu. Oby nasze śpiewaczki mogły z tak pięknego przykładu korzystać.

Ustępy zbiorowe t. j. kwartet Mozarta z fortepianem oraz Aryja Bacha i Scherzo Cherubiniego wykonane były z wykończeniem artystycznym.

* * *

W zeszły piątek J. M. Kamiński miał na dochód Towarzystwa Osad Rolnych i Przytułków Rzemieślniczych odczyt publiczny „o nieletnich przestępcach." Ponieważ p. K. jest członkiem naszego komitetu redakcyjnego, stosownie wiec do przyjętej zasady nie podajemy recenzyi tego odczytu; natomiast chcemy zwrócić uwagę naszych czytelników na samo jego założenie.

Że przyczyny socyjalne wytwarzają w danym społeczeństwie pewną liczbę przestępstw, o tym przekonywają zarówno studyja w dziedzinie nauk społecznych, jak i prosta znajomość życiowych stosunków. Ciemnota i nędza niższych warstw ludności, dostarczają przedewszystkim stały kontyngens przestępców, rozpoczynających swą nieszczęśliwą karyjerę od najwcześniejszej młodości. Dziecko bez opieki, żyjące w nędzy i wśród zepsutej atmosfery moralnej, z łatwością ulega pierwszej lepszej, częstokroć silnej pokusie. Pierwszy krok otwiera drogę do dalszych, rzec można nieuniknionych następstw. Więzienia, gdybyśmy nawet przypuścili w nich najdoskonalsze reformy, nigdy nie mogą być właściwym pomieszczeniem dla nieletnich. Wychodzą stamtąd o wiele gorsi niż byli przy wejściu,— po jakimś czasie wracają znowu, — recydywizm jest prawie nieuchronny i kończy się wraz z życiem lub wyczerpaniem sił zatraconej jednostki.

Jedynym sposobem wyjścia z tego smutnego koła jest utworzenie specyjalnych instytucyj poprawczo-wychowawczych, gdzieby znalazły stosowny przytułek dzieci opieki pozbawione i nieletni przestępcy. W całej Europie zrozumiano tę prawdę — wszędzie też powstały zakłady tego rodzaju. I u nas zawiązane Towarzystwo Osad Rolnych i Przytułków Rzemieślniczych wkrótce rozpocznie swą działalność, potrzebuje tylko szerszego materyjalnego poparcia, którego ma prawo się spodziewać.

Prelegent przemawiając do licznie zebranej publiczności starał się zachęcić wszystkich do czynnego, tak bezpośredniego jak i pośredniego udziału w tej ważnej dla ogółu sprawie. Żywe słowo wywołało między słuchaczami gorący entuzyjazm. Był że to chwilowy tylko zapał, czy też głębsze poczucie wiodące do czynu? Zobaczymy.

---

dzie Pana. Lało jak z wiadra; pracownie których Sekwana nie zatopiła — zawieszały robotę z powodu ciężkiego zbytu; handel nie idzie już od dwu lat przeszło... z czegóż tu sobie sporządzić *kutię?*—Nie rozpaczaj wyrobniku! wierzaj: bodajby tylko ludzie tak mało byli zacięci jak przyroda. Jeżeli niechcąc, i zrobi cokolwiek złego, to zaraz spostrzegłszy się, czym może i jak może stara się wynagrodzić. Nieopatrzna to matka, lecz złość jéj—nie macosza.

Tyle o przyrodzie. Przemysł daleko słabiéj dopisuje. Wiedzie się tu każdemu tak prawie, jak myśliwym z St. Germain-en-Laye o których dzienniki z ostatnich dni uwzięły się rozpuszczać najbardziéj krzywdzące pogłoski. Z powodu wylewu rzek wszystkie przyleśne gaje, łąki i pola zamieniły się w jeden niezmierzony archipelag. Każdy pagórek stał się małą wysepką. Polowanie więc na zające, przez Prusaków do szczętu niewybite, można było odbywać jeno w czółnach. Otóż, pewien przemysłowiec z téj ważnéj gałęzi narodowéj industryi, wybrał się był z fuzyją na ramieniu, z wiosłami w ręku, po zdobycz. A zdobycz tuż właśnie na niego czekała; zaledwie bowiem kilkadziesiąt sążni odpłynął, patrzy: na drzewie siedzi zając. Skurczyło się biedactwo, przytuliło do gałęzi, i osłupiałemi oczyma patrzyło przed siebie, rychło-li nieprzyjazny żywioł odstąpi sobie precz. Myśliwy rzekł tedy w duchu:—Otoż żonka będzie rada! — jako żywo: calusieńkiego przywiozę do chaty. I złożywszy fuzyję do czółna, podpłynął cicho i łagodnie ku drzewu. Po czym ostróżnie i zlekka uczepił się grubszéj gałęzi, i... W tém zając—skik do łodzi. Łapaj!—krzyknął przemysłowiec. Ale już było nie wczas. Czółenko lekkie, poszło za nadanym pędem: odpłynęło. Zanim sąsiedzi nadciągnęli z pomocą, zając tymczasem, pędzony prądem dotarł do pierwszéj gęstszéj wysepki. Jeśli go tam znajdą, nie omieszkam donieść.

Na tym jednak nie koniec. Zmartwionego przemysłowca przyjaciele pocieszali jak mogli. Gdy nic nie pomagało, rzekł z nich jeden zniecierpliwiony.

— No, to czemużeś, bałwanie jakiś, nie strzelał?!

— Strzelił za mnie Aleksander Dumas syn — odparł niefortunny myśliwiec, i czoło mu się rozchmurzyło.

Obecni, podobno, nie pojęli odpowiedzi. Wytłomaczymy o co chodzi.

Dyrektor głównego teatru berlińskiego dopraszał się w ostatnich czasach u Dumasa o pozwolenie przedstawienia na scenie tamecznéj *Żony Klaudyjusza*, ostatniego arcydzieła téj dramatycznéj paryskiéj wyroczni. Ofiarował za to 8,000 franków.

— Summa nie wystarcza — odrzekł Dumas— żądam Alzacyi!

Do tego-to strzału stosował odpowiedz swą myśliwy. Lecz co miał na myśli?—któż zgadnie.... Okazało się bowiem, że niespodziana wielkiego dramaturga wycieczka jest tylko wycieczką niespodzianą: prawdziwym paryskim *mal à propos*, po naszemu: pudłem. Ten sam autor, tak drażliwy i czuły na honor narodowy w kwestyi *Żony Klaudyjusza*, czemuż jednak mniéj dowcipnie znalazł się w sprawie innych, po rok 1871 wydanych sztuk? Wszakże jego *Księżniczka Jerzowa* w berlińskim *Residentz-Theater* o Alzacyją się nie dopomina i nie dopominała nigdy?

Nie potrzeba więc dodawać, do jak wyrafinowanego stopnia podniesiono tu spekulacyją na renomę! *Bazyli Niebiast.*

NASI POWIEŚCIOPISARZE.

I.

Teod. Tom. Jeż.

(Dalszy ciąg).

Taki sposób rozumienia stosunków społecznych wyrobił w Jeżu *pogląd satyryczny*, jaki się przebija bardzo wyraźnie w większej części jego utworów. Potrzeba złe karcić—to nie ulega wątpliwości; ależ kazania napuszone, deklamatorskie, popisujące się z zadrosną moralnością, nie mogą zrobić wielkiego na słuchaczach wrażenia. Jestto środek zużyty i dziś na niewiele przydatny. Satyra w tym lub owym rodzaju jest bronią najskuteczniej może pokonywającą śmieszności a nawet i wady. Satyra, którą się Jeż posługuje, stawia pod pręgierz lekceważenia lub wzgardy osobistości, zasady lub przekonania, niepodzielane przez autora, bez uprzednich wyroków i namiętnych szykan. Opisuje fakt, osobę jakąś—czytelnik przypatruje się im, ogląda ze wszystkich stron, przysłuchuje się wypowiedzianym słowom, kontroluje, czyny i—wydaje sąd swój własny. I autor spełnił swe zadanie i czytelnik; skomunikowali się duchem; powieść należy niejako do nich obydwu. Inaczejby wypadło, gdyby autor przygotowywał czytelnika za pośrednictwem długich wywodów i tyrad krasomówczych do powzięcia pewnego zdania, do otoczenia sympatyją lub antypatyją dla przedstawianych przez siebie postaci. Powstałyby kolizyje sądu jednego z sądem drugiego; kolizyje, w których autor albo wszystko wygrywa, albo wszystko przegrywa....

Jeż nie dochodzi nigdy do takiej ostateczności: zostawia wszystko na sąd czytelnika, który z konieczności musi sobie wyrobić zdanie—jeżeli naturalnie nie chce uchodzić za duchowego ospalca. Humor nie żrący ani też pobłażliwie jowijalny; humor człowieka, który widząc złe, szkaradę nawet, wie o tym bardzo dobrze, że jednym słowem świata nie przemieni; humor człowieka, który, zwątpiwszy w potęgę pieśni Orfeuszowyeh, nie chce przecież zrzec się zupełnie wpływu, jaki miał zawsze i ma dotąd jeszcze żart w porę wtrącony: taki humor ożywia pisma Jeża, rozbudza władze myślenia i zajęcie w czytającym wywołuje.

Fałszywieby jednakże nas zrozumiano, gdyby z charakterystyki powyższej wyciągnięto wniosek, że Jeż wziął sobie za zasadę, starożytną maksymę: niczemu się nie dziwić i nic nie uwielbiać. Przytoczyliśmy już poprzednio ustęp, w którym powieściopisarz nasz gorąco przemawia za potrzebą prawdziwej, istotnej miłości, będącej ślubem nietylko ciał ale i dusz, harmonijnym zespoleniem dwu istot do życia zupełnego a całkowitego. Ten sam zapał, nie wygłaszany wprawdzie w szumnych apostrofach, ale wydobywający się na wierzch w obec działalności sympatycznej osoby, napotykamy wszędzie, gdzie jest mowa o prawdziwie szlachetnych myślach i czynach. Trudno atoli zamykać oczy na fakt, że każdy niemal objaw tego biednego życia obok strony poważnej, ma śmieszną, obok wzniosłej—karykaturalną. Jeż, chcąc wiernie odwzorować życie, musiał uwydatnić tę jego dwustronność. Stąd wynikła owa ciągła mieszanina, przedstawiona w szczegółach artystycznie, żywiołów tak różnych i tak odrębnych od siebie, że niejednemu nie przyzwyczajonemu do podobnego traktowania rzeczy wydaje się to niekiedy nie już dziwnym ale dziwacznym. Niejednemu nie może się to jakoś pomieścić w głowie, żeby bohater lub bohaterka mieli w sobie jakąś małą śmiesznostkę, żeby czasami żyli życiem zupełnie prozaicznym, powszednim, codziennym, żeby mówili i działali jak najzwyczajniejsi śmiertelnicy i śmiertelniczki. Bogiem a prawdą, dobrzeby to było, gdybyśmy posiadali same ideały zdobne w cnoty i zasługi, gdybyśmy je spotykali nietylko na kartach romansu lub poematu, ale—co ważniejsza—i w życiu... Świetnieby wówczas przedstawiały się nasze marzenia, rojenia i pomysły; miękko i błogo robiłoby się na sercu;—oddychalibyśmy czystą wonią świętości.... Któżby tego nie pragnął? Gdy jednakże pragnienia, nieoparte na rzeczywistości, są najzupełniejszą i najpustszą w świecie mrzonką; gdy pokutujemy nieraz gorzko za zbyt górnolotne marzenia i łzy lejemy gorące po ich utracie; zgodzić się więc nam wypada na smutniejsze trochę położenie, które polepszyć w naszej jest mocy. Jeżeli się więc Jeż śmieje—to nie z pustoty ani z obojętności; a raczej z tego trzeźwego przekonania, które nieco trywijalnie wyraża się zdaniem: głową muru nie przebijesz. Śmiech taki nie jest zmysłowym rozpasaniem ani podrażnieniem nerwowym;—wykazuje się raczej jako jeden z dosadnych wyrazów zdrowo pojętej filozofii życia.

* * *

Ulubioną areną, na której ukazują się bohaterowie Jeża i ich otoczenie, jest Ukraina i Podole z przyległemi do nich okolicami. Jestto przedewszystkiem spłacenie długu okolicznościom wychowania i wykształcenia, gdyż właśnie na owej w bujną a pożyteczną roślinność bogatej ziemi Jeż stawiał dziecinne i młodociane kroki;— a potym, jestto skłonność do tej natury zdrowej i jędrnej, pełnej nieprzebranych zasobów materyjalnych. Wsie i wioski tamtejsze, miasta i miasteczka (Kamieniec, Kijów, Bałta, Odesa i t. p.) łączą niejako wspólnym węzłem kilka powieści, zaznajamiając nas z przyrodą, miejscowością i jej mieszkańcami. Tam Jeż jest najswobodniejszym; tam pełną oddycha piersią, rodzinnym powietrzem odmładzając swe siły; tam najcharakterystyczniejsze i najżywotniejsze znajduje postaci. Gdzieindziej, np. w Warszawie (*Siostrzane dusze*) już mu nie tak raźno, czuć jakieś skrępowanie, jakąś niepewność kroków. Zwyczaje i stosunki nie są mu już tak dobrze znane; nie zrósł się z niemi, nie wypieścił ich w duszy — a powieść na tym zyskiwać nie może.

Nie zapominajmy jednakże o jednej rzeczy. Jeż zna doskonale Mołdawiją i Wołoszczyznę, Bulgaryją, Węgry i południową słowiańszczyznę. Tam przepędził znaczny kawał życia dojrzałego; tam również odebrał silne i trwałe wrażenia. To też powieści mające za przedmiot opis wypadków — po większej części dziejowych—jakie na owych ziemiach się odbywały, należą do najudatniejszych, mogących śmiało spółzawodniczyć z powieściami ukraińskiemi. Stanowią one jakby cykl osobny, do którego należą: „Szandor Kowacz", poczęści „Krwawe dzieje", „Asan", „Uskoki" i „Narzeczona Harambaszy". Dwa te ostatnie mianowicie utwory wzbudziły prawdziwy entuzyjazm. Obie wystawiają walkę słowian z ugniatającym ich Turczynem: pierwsza walkę bośniaków, druga—serbów. W pierwszej bohater zapomina się na czas pewien w objęciach miłości traci z oczu sprawę ogółu: lecz później tym gorliwiej rozwija zasoby swego talentu dla powetowania szkód poniesionych w czasie jego nieobecności; w drugiej bohater ani na chwilę nie zapomina, że jest biednym serbem, który wprzód musi myśleć o dobru swojego kraju, zanim o własnym zamarzy i w nagrodę tej dzielności moralnej, tego pokonania w sobie egoistycznych popędów dostaje upominek podwójny: rękę najcudniejszej z dziewic serbskich i przyjaźń

człowieka, który go nienawidził. Wielka nagroda za czyn wielki!... Pozyskać serce— nie tak łatwo; pozyskać serce, które miało żal do nas, żal łączący w sobie uczucia może życia połowy—udaje się jednemu na tysiąc.

W dziejowym poglądzie swoim Jeż nigdy nie zapomina, że żyje w drugiej połowie wieku XIX. Nacisk, położony przez autora na nowsze kwestyje, nadaje wielką żywotność utworom powyższym, które z powodu oddalonej i mało u nas znanej miejscowości i czasów odległych nie mogłyby w innym wypadku tak silnie zainteresować czytelników, jak istotnie zainteresowały. „Spólczesna idea nadaje historycznym powieściom Teod. Tom. Jeża znaczenie prawdziwie społeczne; za jej pośrednictwem rozjaśniają się poglądy, rozbudzają się uczucia, które głębokie wywierają wrażenie. Jeżeli romans historyczny, bardzo podupadły w ostatnich czasach, może jeszcze wywierać wpływ na społeczeństwo; to jedyną ku temu, zdaniem naszym, drogę wskazał właśnie Teod. Tom. Jeż. Archeologija, lubowanie się w szczegółach zamierzchłej przeszłości, niemających odpowiedniego odnośnika w chwili obecnej, antykwaryjuszostwo estetyczne jednym słowem—straciły dla nas powab, a przynajmniej nie wzbudzają już wielkiego zajęcia. *(D. n.)*



Widoki familijne, powieść Jana Zacharyjasiewicza, Warszawa.

Jestto jedna z tych pospolitych powieści, które stanowią chleb powszedni dla umysłów w beletrystyce szukających posiłku. Nie wprowadza ona żadnej nowej myśli, nie wypowiada wojny dotychczasowej, utartej metodzie pisania i nie odkrywa żadnej nieznanej dotąd w autorze twórczej siły. Treścią swą i osią ruchu przypomina całą ciżbę polskich i obcych powieści; choć układ, barwa opowiadania oraz pewna wyrazistość zdejmowanych na gorącym *światłorysów* (fotogramów) niepozwalają czytelnikowi zapominać o jej autorze.

Młody (trzydziestoletni), urodziwy dwu wiosek właściciel, Wiktor, osiadłszy, po skończeniu uniwersytetu i szkoły rolniczej, w swym dziedzicznym dworku, porządnym lecz samotnym życiem i postępową reformą gospodarstwa, zjednywa sobie niechęć zardzewiałej w starych nałogach i przesądach obywatelskiej braci. Pragnąc tę niechęć zwyciężyć i „dojść do powszechnej estymy powiatu", a *niebędąc bohaterem* postanawia „świetnym ożenieniem się swoim sąsiadom zaimponować i potym podać im rękę do zgody". Przedsiębierze tedy, jak bohater dawnej powieści Korzeniowskiego „Wyprawę po żonę", lecz, obcy widać z natury błędnemu pątnictwu i marzycielstwu, stereotypowy postępowiec, dojeżdża do najbliższej stacyi kolei żelaznej i z okiem zwróconym ku zachodowi siada do wagonu. Tam (w wagonie) zastaje, a wkrótce poznaje trzy kobiety: starą „o krogulczym profilu" matronę, i dwie młode: szatynkę zalotną, szyderczo-rezonującą *piękność klasyczną*, i blondynkę, *piękność romantyczną*, zadumanego smutku anioła. Dowiaduje się, że obie dziewice są wnuczkami brzydkiej, lecz imponującej majestatem damy. Starsza, szatynka oczarowywa go, młodsza—zachęca do marzeń. Wszystkie ważniejsze osoby, potrzebne do rozebrania ról w powieści już w pierwszym rozdziale są przez autora w jedno połączone grono. Drezno, do którego dążą, ma być głównym polem nieoryginalnie pomyślanej *walki o byt*. Wiktor „którego powiatowym marzeniom — Salomeja w zupełności odpowiadała" znajduje tam dwu wspólników i jakiegoś Romana, hr. Denhofa, porucznika kirasyjerów, którego już poznał w drodze. Salomeja, z umiejętnością wprawnego strategika trzyma wszystkich trzech w odwodzie. Nie od dzisiaj zresztą gra ona *o lepsze* na rynku matrymonijalnej giełdy; jakiś galicyjski hrabia i syn bogatego obywatela z sąsiedztwa, byli już, jak świadczą złośliwe pogłoski, wybrańcami i ofiarami obliczanych zgóry na bieżący kurs papierów, spojrzeń czarodziejki. Salomeja zresztą, jakkolwiek na pierwszy rzut oka, samowiednie dąży do celu, jest tylko powolnym od dzieciństwa, urabianym narzędziem w ręku Hortensyi, przedstawicielki *usilnie* ześrodkowanej, gasnącej potęgi rodu. Podnieść upadający ród przez możliwie najszczęśliwsze pod względem materyjalnym małżeństwo, oto jedyny cel strategiczny obrotów *niewidzialnego* obozu, którego przywódcą jest babka Hortensyja. Przez pewien czas płyną śród niepewności i różowej złudy ważne dni zebranych w saskiej stolicy niebohaterów z wagonu.. W jednej chwili postać rzeczy się zmienia: Wiktor, Roman i Denhof dostają—każdy zosobna — łagodne, idealną gazą tajemnicy zakryte *od kosza*; poczym dwaj ostatni (Denhof występuje *na scenę* raz tylko – w wagonie, zresztą *za kulisami*) odlatują pojedyńczo, nieznanemi drogami w cieplejsze strony, podczas gdy Wiktor, jako poświęcony w planie powieściopisarza *tragos* (kozioł ofiarny), zmieniwszy tylko godło i kierunek uczuć, pozostaje sam jeden naprzeciw obozowej metropolii *widoków familijnych*. Godzina koncertu, na którym ukryty za drzewem, badał oczyma ruchy Salomei, podejrzanego o *wybrannictwo* Romana, oraz marzące słowa, spojrzenia zapomnianej blondynki Pauliny, była chwilą, śród której spełnił się akt psychicznej przemiany w Wiktorze. Odtąd kochał już nie Salomeję, lecz Paulinę. Miało to być, jak utrzymuje autor, naturalne rozwinięcie *niewidzialnych* zarodów prawdziwego uczucia, pierwszych spojrzeń i natchnień w wagonie. Śród różowej sielanki marzeń, jaką odrodzony Wiktor snuje za zgodą babki Hortensyi, u stóp kochającej go oddawna Pauliny, spełnia się trzymane długo w tajemnicy a upragnione przez żeńskiego emisaryjusza rodu, połączenie Salomei z krzewnym jej milijonerem Amadeuszem, niebezpiecznym monomanem i idyjotą, którego zwierzchnicza władza szpitala obłąkanych tylko co spod swej opieki uwolniła. Państwo młodzi wraz z Hortensyją wyjeżdżają niebawem za granicę Saksonii, dla zwiedzenia ważniejszych europejskich stolic; Paulina odesłaną zostaje do matki na Ukrainę, a Wiktor z bijącym sercem i nadzieją bliskiego szczęścia powraca na dziedziczny zagon. Tam dowiaduje się z gazet, że Amadeusz otruł swą żonę. Pełen niedowierzania i trwogi, wślad za gazeciarską wskazówką, dąży do Berlina, gdzie się przekonywa o smutnej prawdzie. Sprawę Amadeusza, zostającego tymczasowo pod opieką sądu, rozbiera jakiś prawnik—darwinista, a wypadkiem badań jest uwolnienie Amadeusza, jako *dziedzicznie* na ciele i umyśle *chorego*, od wszelkiej odpowiedzialności sądowej. Fakt otrucia przez wszystkich uznawany, jedyną, nieugiętą opozycyją znajduje w Hortensyi, która na tkaninie swej *stałej idei* nowe kreśląc plany, odbiera teraz Wiktorowi wszelką nadzieję uwieńczenia na ślubnym kobiercu miłosnej intrygi, i sama wkrótce wraz z Amadeuszem na Ukrainę wyjeżdża. Bohater nasz tymczasem (czyli jak słusznie chce autor, *nie-bohater*) w pogoni za rozpływającym się w mglistej doli *jasnowłosym ideałem*, opisuje śladami swego biegu elipsy i parabole na kontynencie Europy. Widzimy go kolejno na Ukrainie, w Petersburgu, Berlinie, Paryżu, gdzie nakoniec, po długich trudach, dowiedziawszy się o zawartym małżeństwie między posągowo-smutną w dzień ślubu Pauliną a niebezpiecznym Amadeuszem, powraca złamany do kraju i żeni się z rumianolicą, hożą córką sąsiada.

Myśl przewodnia jest, jak widzimy, starą i ograną; a środki, jakich do jej przeprowadzenia użył autor, blade i stereotypowe. Oryginalność wewnętrzna powieści leży głównie w tym, że autor przedstawił ogadaną, galwaniczną siłę pamiętającego o swej przeszłości a strupieszałego rodu, w jej *nieprawdopodobnym* ześrodkowaniu.

Drogi, jakie ta siła wybiera, zostają w sprzeczności *z wszelkim interesem* i służyć mogą tylko ku jej zagubie.

Śród ograniczonych w ciasnym kręgu powieściowych kolei, zarysowują się postaci: babki Hortensyi, dwu jej wnuczek i Wiktora. Babka Hortensyja—to mara w płaskorzeźbie, zolbrzymiona pod powiększającym szkłem fantazyi, kopija zapylonego portretu familijnego. Zdaje nam się, iż dla takiej postaci niéma już miejsca nawet w galicyjskim społeczeństwie. Czuł to nawet sam autor, oddzielając ją od wszelkiego wpływu, czyniąc niedostępną walce współczesnych zasad i żywiołów... Wiktor, jako mężczyzna, Paulina, jako kobieta, są postaciami tuzinkowemi, które, ważąc w społeczeństwie tyle co pojedyńcze ziarnka piasku w świecie kopalnym, nie zasługują zgoła na rozbiór. Jedynym wybitniejszym, konsekwentnie przeprowadzonym, a w licznych wtórach współcześnie żyjącym charakterem, byłaby Salomeja, gdyby autor nadał jej większą swobodę i przy żywszej grze powieściowego dramatu, też samę jedność ruchów.

A. G. B.

Дозволено Цензурою. — W drukarni Jana Jaworskiego. Warszawa, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Wydawcy: HENRYK PERZYŃSKI. WACŁAW SZANIAWSKI.

Redaktor, HENRYK PERZYŃSKI.